Wydawnictwa rok VII
Dnia 14 kwietnia 1929 r.

Nr. 293

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy"

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

TYGODNIK

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

REFORMA NASZEJ KONSTYTUCJI I SYGNAŁY OPINJI EUROPEJSKIEJ

NIEDYSKRECJE:

„GŁOS PRAWDY" LITERACKI

Redakcja: Warszawa, ulica Szpitalna 1, telefon 282-54.

NIEDYSKRECJE

NIEDZIELNY ARTYKUŁ P. MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO uderzył jak grom z jasnego nieboskłonu przywódców partyjnych, triumfująco spoglądających na świat cały dzięki rzekomym sukcesom odniesionym przez opozycję w walce z rządem w ostatnich dniach sesji sejmowej. Kroczące dumnie w aureoli swego „zwycięstwa", panowie ci, których nazwiska są wszystkim aż nadto dobrze znane, bodajże przygotowywali się już do... objęcia rządów w Polsce. W pustych i zacisznych obecnie kuluarach sejmowych głowili się nad jakąś nową koncepcją koalicji chjeno-piastowo-cekawistycznej. Nagle w tę sielankę wdarł się potężny głos Marszałka Piłsudskiego. „Zwycięzcy" jeszcze przed chwilą pełni dumy, przeistoczyli się w ludzi, robiących wrażenie jakgdyby mocno zdzielono ich kijem po głowie. Żałosny, bardzo żałosny widok przedstawiał p. Niedziałkowski dnia poniedziałkowego i następnych, biegając po sejmie i szukając bezradnie odpowiedzi na swoje pytanie o jakich to instrumentach, które trzeba będzie jeszcze wobec sejmu zastosować, mówił p. Marszałek w końcu swego artykułu. Pusty gmach sejmu począł się zapełniać. Ciche do niedzieli kuluary, w poniedziałek niespodziewanie ożywiły się. Na Wiejskiej rozpoczął się jakiś ruch! W bufecie, gdzie (popełniamy przy okazji niedyskrecję) od jakiegoś czasu wyszynk alkoholów jest wzbroniony, w korytarzach, hallach i pokojach klubowych, panowie posłowie skupiając się w grupy, omawiają artykuł Marszałka Piłsudskiego, podają swoje wrażenia, snują horoskopy. Przewodzą pp.: Rybarski, Rataj, Dąbski, Thugutt, Niedziałkowski, Pragier; brak więc dla zaokrąglenia tej kompanji jedynie Korfantego. Tematem narad jest zagadnienie, jak zareagować na enuncjację Marszałka. Może zwołać nadzwyczajne posiedzenia klubów? Po co, nad czem będziemy radzili. Może wszcząć akcję w kierunku zwołania sesji sejmowej i rozpocząć zbieranie podpisów poselskich pod petycją do p. Prezydenta? Ale i to się na nic nie zda, bo przecież rząd jakoby ma zamiar w niedługim czasie otworzyć sejm na sesję nadzwyczajną. A może udać się do Marszałka Sejmu i zażądać od niego interwencji u Głowy Państwa w obronie godności poselskiej? Oto jakie mniej więcej bezradne pomysły padały z ust oszołomionych leaderów. W myśl przysłowia: „Gdzie konia kują tam iskry lecą", znaleźli się natychmiast tacy, którzy w zamieszaniu zdołali wykonać swą niecną robotę i jad swych strupieszałych umysłów wsączyć w mózgi naiwnych. Znaleźli się i tacy, którzy dla swej wygody plugawe plotki przyjęli za dobrą monetę. Pocichutku, półgębkiem puszczono w kurs pogłoskę o rozdźwiękach istniejących pomiędzy p. Prezydentem i p. Marszałkiem, o konflikcie między kierownikami nawy państwowej, ba! — nawet o zamierzonej rezygnacji Prezydenta Rzplitej ze swego stanowiska. Początkowo czyniono to pocichu, jedynie na próbę, by zorjentować się jaki to wywrzeć może efekt. Gdy jednak plotki trafiły na podatny grunt kawiarnianych nierobów — polityków, robota zaczęła się na szerszą skalę. Zdołano nawet przemycić kilka takich antypaństwowych wiadomości godnych największego potępienia, do prasy zagranicznej. W ten chociażby sposób, w braku innego, niektórzy partyjnicy chcieli pokryć swoje zamieszanie i, mówmy otwarcie, strach. Może tak uda się odwrócić opinję od sedna rzeczy, wyciągniętej na wierzch i we właściwem świetle postawionej przez Marszałka Piłsudskiego. Jednak nic nie pomogło. Ani kładzenie nacisku na formę artykułu, a nie na treść w nim zawartą, ani łansowanie plotek antypaństwowych, ani groźne zapowiedzi „odwetu". Popłoch na ulicy Wiejskiej był zbyt jaskrawy, by go można było czemś zatuszować: twarze leaderów opozycji były aż nadto spopielałe, by nie było widocznem, że „marsz triumfalny fajdanów" zamienił się w sromotną ucieczkę.

* * *

PRZEZ CAŁY CZAS SWEGO URZĘDOWANIA gabinet kanclerza Müllera znajduje się pod znakiem kryzysu, który w ciągu dni ostatnich doszedł do punktu kulminacyjnego. Liczne próby utworzenia wielkiej koalicji od ludowców do socjalistów rozbijały się o coraz to nowe przeszkody, zarówno natury zasadniczej, jak i taktycznej. Kompromis budżetowy, który miał się stać podstawą dla utworzenia jako tako skleconej większości w Reichstagu, omal nie doprowadził w ubiegłym tygodniu do dymisji rządu socjaldemokratycznego kanclerza. Przesilenie zostało chwilowo zażegnane apelem patrjotycznym rządu do popierających go dotychczas pięciu stronnictw, nawołującymi do zaniechania otwartego konfliktu ze względu na sytuację międzynarodową, a szczególnie na rokowania reparacyjne w Paryżu. Jest rzeczą charakterystyczną, że bezpośrednim powodem przesilenia była sprawa sławetnego pancernika A, który nie po raz pierwszy torpeduje gabinet obecny. Jak wiadomo, budowa jego uchwalona została jeszcze przez rząd poprzedni, lecz socjaldemokratyczni ministrowie nie mieli odwagi po objęciu władzy przeciwstawić się tej spuściźnie po nacjonalistach, i „dla względów taktycznych głosowali w swoim czasie za wstawieniem odpowiedniej pozycji do budżetu. Wywołało to konflikt pomiędzy nimi a frakcją socjaldemokratyczną w parlamencie. Na tem tle omal nie doszło do rozłamu w partji, pancernik bowiem, który, jak to wynikło ze słynnego memorjału gen. Groenera, ma stać się początkiem odbudowy panowania Niemiec na Bałtyku, był zbyt cynicznem zaprzeczeniem deklaracji rozbrojeniowej p. Müllera w Genewie. Na dłuższą metę ta podwójna gra nie dała się utrzymać, tembardziej, że całkowicie podkopała zaufanie zagranicy do pacyfizmu niemieckiego. „Przekleństwo złego czynu mści się" — jak mówi poeta niemiecki. I oto, pod naciskiem opinji swych wyborców, frakcja socjaldemokr. musiała po raz drugi zająć ostre stanowisko przeciw swym ministrom. Przed kilku dniami powzięła ona 93 głosami przeciw 29 uchwałę, odrzucającą wszelkie kredyty na budowę pancernika. Zdawało się, że po tej uchwale, rząd kanclerza Müllera nie ma innego wyjścia, oprócz dymisji. Lecz nagle karta się odwróciła ukazując we właściwem świetle blade oblicze niemieckich apostołów rozbrojenia i socjalizmu. Przywódcy socjalistyczni w Reichstagu podporządkowali się „koniecznościom państwowym" i, jak donoszą ostatnie relacje, osiągnięte zostało „gentleman agreement" pomiędzy rządem a leader'ami pięciu stronnictw co do tego, że zobowiązują się one akceptować kompromis, nie stawiać żadnych wniosków o skreślenie pozycyj budżetowych oraz zgłaszać wszelkie wnioski tylko za wspólnem porozumieniem. Odnosi się to wyraźnie do budowy pancernika i oznacza, że socjaliści zobowiązują się przynajmniej do niewystępowania z inicjatywą skreślenia drugiej raty na budowę pancernika. Innemi słowy, umywają ręce i rozpoczynają odwrót. W najlepszym wypadku powstrzymają się od głosowania, lub też będą tak kombinować głosami, by ocalić rząd i... pancernik. Oto jak wygląda w zetknięciu się z rzeczywistością programowość i zasadniczość niemieckiej socjaldemokracji, ku której tak często wzdychają nasi pepesowcy. Do jakiego stopnia docho-

dzi jej prawomyślność rozbrojeniowa, dowodzi wystąpienie „Vorwärts'u" przeciw niedawnej uchwale angielskiej Niezależnej Partji Pracy, która postanowiła odrzucanie w przyszłości wszelkich kredytów wojennych. Zdaniem niemieckiego organu socjalistycznego, uchwała tak jest aktem niepolitycznym ze strony partji, ubiegającej się o władzę. Gabinet p. Müllera, nie upadnie więc, lecz będzie tylko, dzięki oportunizmowi socjalistów, zrekonstruowany wstąpieniem do niego trzech ministrów z centrum katolickiego.

* * *

NIESPODZIANA DYMISJA GABINETU AUSTRJACKIEGO ma podłoże zgoła sensacyjne. W myśl urzędowej relacji ks. Seipla, postanowił on zrezygnować ze stanowiska szefa rządu, które obejmował w ciągu pięciu lat, nie chciał bowiem, aby jego — niezbyt mile widziana na lewicy socjalistycznej po wypadkach lipcowych 1927 r. osoba — była przeszkodą do nawiązania kontaktu z opozycją. Nagła decyzja kanclerza związkowego wywołała zdumienie w austrjackim świecie politycznym, nie była bowiem spowodowana żadnem bezpośredniem wydarzeniem w stosunkach wewnętrznych. Rąbek tajemnicy odsłania obecnie przewódca jednego z ugrupowań, tworzących koalicję rządową. Leader Landbundu Winkler wystąpił z sensacyjną rewelacją, twierdząc, że dymisję ks. Seipla wywołała... „polska nierogacizna"! Ze słów Winklera dowiadujemy się o zakulisowej grze reprezentującego interesy austrjackich agrarjuszy Landbundu, który ultymatywnie zażądał ograniczenia wwozu nierogacizny z Polski, grożąc wycofaniem swych przedstawicieli z gabinetu. Nie mogąc zadośćuczynić żądaniu Landbundu, kanclerz ustąpił. — W nowym rządzie koalicja chrześcijańsko - społecznej partji, Landbundu i wszechniemców zostanie utrzymana nadal, jakkolwiek ogólny kurs względem opozycji socjalistycznej będzie złagodzony. Szereg nierozstrzygniętych kwestyj prawodawczych, jak zmiana ustawy o ochronie lokatorów, reforma prawa małżeńskiego i rozszerzenie świeckiego szkolnictwa od kilku już lat oczekuje załatwienia. Wobec braku jedności w łonie rządu, konieczna jest współpraca z opozycją na terenie ustawodawczym. Misji „uzgodnienia" linji politycznej przyszłego rządu z życzeniami socjalnej demokracji podjął się przywódca lewego skrzydła chrześcijańsko-społecznych Gürtler, którego kandydatura na urząd kanclerza związkowego posiada najpoważniejsze widoki powodzenia.

* * *

OŻENI SIĘ, CZY NIE OŻENI? Kwestja ta poważnie absorbuje prasę bułgarską. Panujący od dziesięciu zgórą lat król Borys liczy obecnie lat 34, pozostając w stanie kawalerskim. Kraj oddawna pragnąłby mieć królowę, a — co najważniejsza — następcę tronu Kilkakrotne wizyty bułgarskiego monarchy na dworze włoskim dały asumpt do przypuszczeń, że zostanie zawarty związek małżeński między królem Borysem a włoską księżniczką Giovanną. Pomijając już względy dynastyczne, związek ten zacieśniłby więzy między Italją a Bułgarją. Wskutek sprzeciwu Watykanu, miały się plany małżeńskie króla Borysa zachwiać. O ile bowiem władze kościelne wyraziły zgodę na ślub katolickiej księżniczki z monarchą prawosławnym, to jednak pod żadnym pozorem nie zgodzą się, aby przyszłe dzieci pary królewskiej ochrzczone zostały według obrządku greckiego. Tymczasem konstytucja królestwa bułgarskiego wymaga, by następca tronu należał do wyznania prawosławnego. Z drugiej znów strony, przedstawicielstwa dyplomatyczne Anglji i Francji w Sofji miały interwenjować przeciw ewentualnemu małżeństwu króla z włoską księżniczką. Partja rusofilska z Madżarowem na czele wysunęła wobec tego nową kandydaturę, która przy zmianie konjunktury „może się przydać". Upatrzoną przez rusofilów kandydatką do tronu bułgarskiego jest... córka „cara Cyryla I-go", pretendenta do korony rosyjskiej. Obecna podróż króla Borysa do Niemiec i Włoch ma być rozstrzygająca. Król - kawaler wróci do stolicy prawdopodobnie już z królową.

REFORMA NASZEJ KONSTYTUCJI I SYGNAŁY OPINJI EUROPEJSKIEJ

(Korespondencja własna „Głosu Prawdy")

Paryż, w kwietniu.

Zainteresowanie się Zachodu polskiem zagadnieniem konstytucyjnem posiada półtorawiekowe tradycje. Dawały się słyszeć podziemne grzmoty nadciągającej Wielkiej Rewolucji, kiedy Dwór wersalski dyskutował z ożywieniem na temat studjum „O rządzie polskim", Ch. Mably'ego z Lyonu i entuzjazmował się „Rozważaniami nad ustrojem Polski i projektowaną jego reformą", które nieśmiertelny Jan Jakób Rousseau kończył właśnie pisać za namową Wielhorskiego, wysłannika Konfederacji barskiej.

Głośne echo, jakiem odbija się dzisiaj zagranicą zapowiedź rewizji obecnej konstytucji polskiej, świadczy o wielkiej żywotności tych tradycyj. Tylko, że strojnych w aksamity i peruki markizów zastąpili w demokratyczne marynarki przyodziani publicyści. Wyjątkowe przyjęcie przez opinię paryską złożonego do laski marszałkowskiej przez Blok Bezpartyjny projektu, przypisać należy w pierwszym rzędzie jego *ogólno-europejskiemu znaczeniu.*

Żyjemy bowiem w epoce, której jedną z cech charakterystycznych jest chroniczny kryzys konstytucyjny, istniejący w jednych państwach w formie jaskrawej, w innych w stanie dopiero podświadomym. Wszelkie więc szukania nowych dróg na terenie prawno-politycznym są niesłychanie modne.

Zachód zaś, o ile nie ma jeszcze wielkiego zaufania do naszej produkcji przemysłowej, interesuje się żywo naszą twórczością umysłową. Stąd liczne i objektywne komentarze wspomnianego projektu. O wadze ich świadczy chociażby fakt, że pojawiają się przeważnie w perjodykach, a nie w dziennikach. W krajach bowiem kultury romańskiej, podobnie jak w „the english speaking world", w świecie języka angielskiego, punkt ciężkości opinji spoczywa, jak wiadomo, nie w prasie codziennej, lecz w tygodniowych lub miesięcznych czasopismach.

Przeciętnego europejczyka interesuje projekt polski głównie z powodu pogodzenia w nim idei nowych, idei „sygnałów", o których mówił Carlyle, z przedwojennym szablonem konstytucji państw parlamentarnych.

Dotychczas nie było takiej próby konstytucji, będącej wykładnikiem zaszłych po wojnie epokowych zmian. Światowego rozgłosu pisarz i socjolog angielski H.-G. Wells wyjaśniał niedawne zmiany te na łamach „Revue des Vivants", organu b. kombatantów i generacji powojennej, poświęconego głównie krzewieniu idei Stanów Zjednoczonych Europy, w ten sposób:

„Najdonioślejszem zagadnieniem epoki powojennej jest zjawisko przemiany *Demokracji Wojującej na Demokrację Urzeczywistniającą.* Realizacja zaś osiągniętych w ostatniem półwieczu zdobyczy demokratycznych jest niemożliwą w ramach obecnych konstytucyj większości krajów".

Niemniej znany socjolog włoski, Gugl. Ferrero, zwalczający teorję faszyzmu, dowodzi w dodatku miesięcznym do „Manchester Guardian", że przyczyna kryzysu, jaki przeżywa obecnie cywilizacja europejska tkwi w przechodzeniu z zapoczątkowanej jeszcze przez Renesans ery ***kultury jakościowej*** (culture qualitative) do ery ***kultury ilościowej*** (culture quantitative). Zmiana ta spowodowana zbyt szybkim przyrostem ludności kuli ziemskiej i materjalizacją postępu wywoła — zdaniem G. Ferrero — dobrowolne odsuwanie się mas od udziału w rządach ze względu na niemożliwość pogodzenia powszechnego rozpolitykowania z powszechną twórczością, konieczną w tem nowem stadjum kultury. Masy te wdzięczne będą fachowym jednostkom, które zdejmą z nich ciężar rządzenia. Wyniknie stąd nieunikniona rewizja dotychczasowych poglądów na konstytucję, przedewszystkiem w sensie zdecydowanego wzmocnienia władzy wykonawczej.

Popularny dziennik paryski „Le Journal", posiadający trzeci z rzędu nakład na kontynencie, omawiając nadeszłe pierwsze wiadomości o przesileniu rządowem w Warszawie i o trudnościach jakie napotyka rewizja konstytucji, kończy swój artykuł słowami:

„Nadeszła chwila, w której tylko stanowcze i męskie posunięcie potrafi zapobiec pogorszeniu się. Wszystko jednakże da się naprawić, gdy marszałek Piłsudski uzna za stosowne objąć władzę".

Cytat podobnych, stwierdzających mniej lub więcej bezpośrednio słuszność i aktualność polskiego projektu możnaby przytoczyć bez liku. Zacytowani powyżej dwaj autorzy są jednak najbardziej typowi, jako nieprzejednani reprezentanci idei demokratycznej w pojęciu zachodniem. Należy dodać w pojęciu zachodniem, t. zn. klasycznie europejskiem, ponieważ jak w wielu rzeczach, tak i w pojmowaniu demokracji maszerujemy jeszcze w ogonku Europy. Rojalistyczny pisarz francuski, Leon Daudet nazywa ich obu fetyszystami integralnego ludowładztwa; H.-G. Wells posądzany jest nawet w ostatnich czasach o chęć kandydowania w szeregach socjalistycznej Labour Party.

Dotychczasowe konstytucje powojenne nie mogły uchodzić za ostatni wyraz wymagań socjalnych. Konstytucja republiki niemieckiej, aczkolwiek powojenna, tworzona była w okresie zbyt bliskim wojny, kiedy odurzona ludzkość nie miała jeszcze czasu przemyśleć i przetrawić zaszłych niebywałych zmian. Co się tyczy zaś konstytucji sowieckiej lub innych idei wyraźnie antydemokratycznych, to z wielu względów trudno wymagać, aby mogły one stać się sygnałem lub chociażby przedmiotem twórczej dyskusji w krajach na zachód od Renu, zbyt dumnych z ich niedającego się zdystansować pierwszeństwa cywilizacyjnego.

Krzemień.

JAK WALCZYĆ Z NIESZCZĘŚLIWEMI WYPADKAMI?

Od jednego z czytelników Zagłębia Dąbrowskiego otrzymujemy poniższe uwagi. Ze swej strony zaprzeczamy, że nowy projekt ustawy o ubezpieczeniach społecznych przewiduje naprawę niektórych niedomagań obowiązującego ustawodawstwa, zalecanych przez autora.

Spotkawszy w Nr. 191 „Głosu Prawdy" artykuł pod tytułem „Walka z nieszczęśliwemi wypadkami" który jest rzeczywiście bardzo na czasie i porusza jedną z wielkich bolączek pracy w przemyśle, chciałbym zwrócić uwagę na kilka drobnych szczegółów z poruszoną sprawą związanych.

Słuszną jest jedna z uwag, że sama Inspekcja Pracy nie pokona zła, — tu potrzebny jest wysiłek wspólny wszystkich czynników, mających z przemysłem do czynienia, a więc pracodawców, pracobiorców oraz, i to może w największym stopniu, Zakładu Ubezpieczeń od Nieszczęśliwych Wypadków.

Że strony robotników daje się często zauważyć lekceważenie niebezpieczeństwa wskutek zżycia się z niem, — ze strony przemysłu zaś wszelkie wydatki nie dające widocznego zysku nie są chętnie czynione. Temi właśnie dwiema przyczynami znacznego odsetku wypadków powinien się zająć Zakład Ubezpieczeń.

Zakład Ubezpieczeń od N. W. jest w założeniu swojem idealny, lecz w funkcjonowaniu swojem od ideału bardzo daleko odbiega, zasklepiając się jedynie w ciasnym biurokratyźmie, syt przeświadczeniem, że „funguje" ściśle według ustawy. Sama Ustawa o zabezpieczeniu od nieszczęśliwych wypadków jest wyrazem troski o tych, których nieszczęście wypadku dotknęło i tą właśnie troską winna być nacechowaną działalność instytucji na tej Ustawie opartej. Doprawdy, trudno jednak jest dopatrzeć się tej troskliwości, przyglądając się wysokościom zapomóg przy jednoczesnem, jak powszechnie wiadomo, nagromadzeniu się poważnych kapitałów w Z. U. O. N. W. Czyż można uważać za troskliwość przyznanie miesięcznego zasiłku w wysokości 30 zł. robotnicy, której przyznano 75 proc. niezdolności do pracy po wypadku?

Zastanawiając się nad działalnością Z. U. O. N. W. i porównywując je z działalnością towarzystw asekuracyjnych w czasach przedwojennych, można zauważyć dość znaczną różnicę, nie na korzyść jednak dla

ubezpieczonego i ubezpieczającego. Towarzystwa asekuracyjne zajmowały się jednak nieco więcej samą profilaktyką wypadków (bynajmniej nie posądzam je o ideowość, a o zwykłe wyrachowanie), bo dostarczały różnych ostrzegawczych napisów, chociażby w fabrykach, gdzie dzięki istniejącym zabezpieczeniom, czy też urządzeniom, było mało lub zupełnie nie było wypadków; dawano bonifikatę od wpłaconych za ubiegły rok sum, co właśnie działało na kapitał pobudzająco do czynienia wydatków na urządzenia zabezpieczające od wypadków. Z. U. O. N. W. nic w tej dziedzinie nie robi, poprzestając jedynie na zbieraniu składek, bardzo wysokich, i wypłacaniu zasiłków. Jest to niewątpliwie działanie ściśle z brzmienia Ustawy wynikające, jednak życiowo biorąc bezduszne. Jeśli przyjrzeć się działalności towarzystw asekuracyjnych ogniowych, to urzędy inspektoratów, objeżdżających ubezpieczonych i sprawdzających stan środków ochronnych i dających wskazania, jakie jeszcze uzupełnienia w urządzeniach poczynić należy, by otrzymać dodatkowe rabaty od stawek asekuracyjnych, mogą być pewnego rodzaju wzorem, na którym można byłoby się oprzeć i bezpieczeństwo przy pracy poważnie zwiększyć.

Wprawdzie kontrola nad fabrycznemi urządzeniami jest wykonywaną przez Inspekcję Pracy, należy jednak liczyć się z tem, że Inspektorzy, szczególniej w okręgach uprzemysłowionych, są pracą przeciążeni, a więc i na częste przeprowadzanie szczegółowych kontroli nie mają czasu, wreszcie Inspektoraty Pracy bardziej są zajęte załatwianiem konfliktów i umów o najmie, tak że siłą rzeczy w tej dziedzinie bardziej są wyspecjalizowani, niż w urządzeniach ochronnych.

Powyższemi względami kierując się i mając podane przesłanki na uwadzę, należałoby uważać za wskazane pewne zreorganizowanie działalności Z. U. O. N. W. przez:

1) skoncentrowanie dozoru nad urządzeniami ochronnemi w ten sposób, że dozór ten i kontrolę wykonywać powinni inspektorzy Z. U. O. N. W., specjalnie w dziedzinie ochrony od wypadków wyszkoleni,

2) udzielanie rabatów od stawek tym zakładom, które wykazują dostateczne zabezpieczenie ochronne,

3) Dostarczanie zakładom przemysłowym ostrzegawczych napisów, wykonanych w sposób rzucający się w oczy. Urządzanie odczytów dla robotników z dziedziny ochrony przed wypadkami i o konieczności stosowania się do odpowiednich przepisów bezpieczeństwa.

Należałoby również wejrzeć w sposób określania wysokości zapomóg wypadkowych — może trzeba byłoby uwzględnić pewne minimum, niżej którego zapomogi nie powinny spadać. Kwestja ta naturalnie musiałaby pójść drogą uzupełnienia Ustawy, wydaje się jednak, że uczynić to należy ze względu na nędzę tych, których kalectwo poważniejsze, szczególniej przy niższych kategorjach pracowników, dotknie.

Obserwator.

„GŁOS PRAWDY" LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

W ORBICIE PATOSU

Stanisław Wyspiański.

Dzieła. Pierwsze wydanie zbiorowe w opracowaniu Adama Chmiela i Tadeusza Sinki. Tom I — V. Warszawa, Instytut Wydawn. „Bibljoteka Polska", r. 1924 — 1929.

I.

Żywiołowa twórczość Wyspiańskiego, tak samo jak i wszystkie wielkie spadki, została uregulowana, ujęta w brzegi teoryj. Teorje te, próbujące każdorazowo i, zdawałoby się, wyczerpująco wyjaśnić Wyspiańskiego, można uważać za akty samoobrony krytyki. Wyspiański był zjawiskiem niezwykłem jako organizacja artystyczna. Twórczość jego była zbyt bujna, zbyt skomplikowana jako całość, by układała się sama w ramy jakiejś prostej i jednolitej koncepcji. Zawsze wymagała komentarza, wołała o egzegezę. Była samowystarczalna, ale dla samego Wyspiańskiego, nie dla osób drugich. (Mowa o całej jego twórczości, nie o poszczególnych dziełach, które często same dobrze się tłumaczą.) Dlatego każde nowe ujęcie Wyspiańskiego będzie syntetyczną teorją jego twórczości. Synteza staje się w tym wypadku obowiązkiem. Czytelnik zdaje sobie sprawę, obcując z Wyspiańskim, że wciąż obraca się w sferze jakichś jednogatunkowych, choć odmiennych postacią wartości. I pragnie znaleźć tajemnicę ich powstawania, zrozumieć skąd, z jakiego jednego źródła one się biorą, pragnie je scałkować. Nie chodzi mu o dotarcie do indywidualności pisarza jako charakteru, ale do indywidualności twórczej, do jakiegoś zrostu inwencyj poetyckich o jednej uchwytnej wykładni. O uczynienie pisarza zrozumiałym. O odnalezienie przesłanek twórczych, choćby skomplikowanych, ale przedstawiających się w jednym wymiarze.

Jednolitość wykładni jakiejś całkowitej twórczości jest nietylko samoobroną krytyki, jako instytucji, przed zaskoczeniem — sprowadzeniem nieznanego do znanego, ale posiada też swoją bardzo istotną rację bytu, której uzasadnienie tkwi w samej twórczości. Każda bowiem twórczość jest oparta o pewien zasadniczy sposób pojmowania świata, często niewłaściwie

nazywany poglądem na świat, a który raczej należałoby nazwać indywidualną teorję poznania. Jej istotą jest formowanie zjawisk, składających się na świat, wedle pewnego klucza, wedle pewnej ściśle indywidualnej miary. W jej ramach wiele zjawisk, pospolicie uważanych za miarodajne, zanika, wiele przybiera kształt odmienny od zwykłego, deformuje się, wiele nieznanych powstaje jako możliwości i fakty. W pewnym sensie ta indywidualna teorja poznania jest najwyższą instancją formy. Ona wyznacza ujęcia, uchwyty i chwyty, późniejsze szablony, ten cały zorganizowany chaos, który nazywa się stylem. By poznać pisarza, należy z jego dzieła wydźwignąć te kategorje artystycznego poznania i skonfrontować z niemi dzieło. Pisarz jako charakter nic nas nie obchodzi. Obcujemy jedynie z jego dziełem. Tę indywidualną teorję poznania możemy nazwać i estetyką indywidualną pisarza, dodając, że materjałem tej estetyki jest wtedy nietylko to, co właściwe jest specjalnie literaturze, ale całokształt życia, dramat, etyka, czy też djetetyka osobistego życia pisarza.

Wyspiański miał dość skomplikowaną wizję swojej formy. Materjał życia stawał się dlań dopiero wtedy godnym poezji, gdy tracił cechy pożyteczności na korzyść patosu. Patosowi inkryminuje się naogół najgorsze cechy poetyczności, uważa się go za zgrywanie się pisarza, za tani efekt, pustą wielomówność, ubóstwo przesłonięte łachmanem granej dumy. Zarzucenie komuś patosu, choćby szlachetnego, jest w krytyce zawsze aktem potępienia. A przecież patos może być czemś organicznem, organizującem życie, zasadą naczelną, może nie występować w każdym oddzielnym fragmencie jakiejś twórczości, a jednak nasycać je sobą.

Wyobraźnia Wyspiańskiego jest organicznie patetyczna. Patetyczności tej można np. dopatrzeć się w jego tak starannie wyrysowanych kwiatach. Bodaj że w tym wypadku tkwi ona w precyzji wykonania szczegółów, w pewności linji, w tak uważnem zajęciu się rysowanym objektem, że zatraca się dla artysty kontur dany przedmiotowi przez naturę, że przedmiot wychodzi poza siebie, nie zatracając jednak swej przedmiotowości.

W dramacie Wyspiańskigo już nie precyzja jest objawem patetyczności, ale doszukanie się w temacie cech, odpowiadających tej wewnętrznej mierze, wewnętrznemu rytmowi, które u Wyspiańskiego zawsze regulowały wizję twórczości. Regulatorem tym jest powaga. I co stąd płynie, — brak Wyspiańskiemu poczucia humoru.

Powaga jest dlań idealnym miernikiem, wedle którego urabia swoje życie. Niema tu żadnej różnicy między „Dichtung" i „Wahrheit". Zestawmy peany wyśpiewane swego czasu przez Boy'a na cześć Paryża i jego bardów — piosenkarzy kabaretowych, z takim np. ustępem listu Wyspiańskiego z Paryża: „Nie widziałem ani razu Aristide'a Brianta, ani Yvette Guilbert, starałem się tylko z afisza wyrobić przekonanie o istocie ich sztuki — i mam wrażenie, że z afisza wyrobiłem je sobie". Stanowisko ogromnie charakterystyczne dla Wyspiańskiego! Dowodzi ono ścisłej selekcji, jakiej Wyspiański poddawał materjał życia. Nie żywił pogardy dla francuskiej piosenki, będącej produktem specjalnego środowiska i kultury, ale uważał ją za zjawisko nieistotne, nieważne. Jego zainteresowania miały inne tory.

Że patetyczność Wyspiańskiego nie była czemś wtórnem, dowodzi jego stosunek do wielkiej twórczości literackiej i historji, przełamanej przez literaturę. Wyspiański ogromnie łatwo zapładniał się obcemi tematami. Istniała w nim w stopniu maksymalnym skłonność do tego, co tkwi w każdym twórczo usposobionym człowieku — żądza dopełnień indywidualnej korekty. Homer, klasycystyczny dramat francuski, Szekspir, romantycy polscy od strony ich historjozofji — są dla Wyspiańskiego źródłami wciąż nowych zastanowień. W tej twórczości znajduje on gotowe kształty patosu, i odkształca je wedle własnej miary. Dla „wpływologów" żer gotowy, bo Wyspiański nie ukrywa przecież imion tych, z którymi obcuje. Jego dramaty homeryckie są z punktu widzenia filologa jedynie warjantami greckich motywów dramatycznych i epickich, ale w gruncie rzeczy to zupełnie samodzielne konstrukcje, autonomiczne dopełnienia greckich pomysłów. Wyspiański od nich zaczyna, ponieważ posiadają walor najcenniejszy dla niego — gotową patetyczność. Ona dopiero może być punktem wyjścia dla badań nad tragizmem Wyspiańskiego. Analizując dramat po dramacie, można wykazać, jak w każdym z nich tragizm poczyna się od patetyczności. Czem, jak nie narodzinami dramatu z ducha patosu jest mitologja w twórczości Wyspiańskiego? Duchy (a przez nie i bogów) z jego dramatów wyprowadza się zazwyczaj z „Wykładów o literaturze słowiańskiej", gdzie Mickiewicz, mówiąc o przyszłym dramacie słowiańskim, stawia za wzór wprowadzenie cudowności u Homera, — albo też wprost z „Dziadów", które Wyspiański bardzo wysoko cenił. To są jednak wtórne już uzasadnienia.

Epigonizm, skoro już stawiać rzecz w tej płaszczyźnie, nie jest sprawą tak skomplikowaną, jak się napozór wydaje. Gdyby nawet Wyspiański szedł za Mickiewiczem, to szedł bynajmniej nie niewolniczo. Wręcz przeciwnie: Mickiewicz posłużył mu raczej jako autorytet potwierdzający jego własne stanowisko, wrodzone zamiłowanie do specjalnego rodzaju swobody twórczej, prawo do swojej formy. Gdyby nawet ta forma była zapożyczona całkowicie, czy od Mickiewicza, czy np. od Hauptmanna, nie dowodziłoby to jeszcze, że Wyspiański nie znalazł w niej całkowicie siebie. Oryginalność nie jest jeszcze kryterjum dla osiągnięć.

Mitologizowanie jest dla Wyspiańskiego jedną z form patetyzowania swego dramatu. Dlatego mało tej mitologji znajdziemy w jego dramatach homeryckich. Tam już sam temat jest tak patetyczny z natury swojej, że bogowie staliby się zbytecznym ornamentem. Tak samo w dramacie historycznym. „Warszawianka", „Lelewel" nie potrzebowały mitologicznego przedłużenia, tłumaczyły się same patosem wypadków. Zmitologizowanie „Nocy listopadowej" miało swe wyjaśnienie w Łazienkach. Teren, jak to słusznie w jednym ze „Wstępów" zauważył Sinko, jest dla Wyspiańskiego „gruntem, z którego wyrastają ideje i wizje".

Wyspiański ma swoją teorję dramatu. W jednym z listów do Rydla powiada on, że „dramatem dla niego jest jedna chwila, jeden dzień; inaczej dramatu

nie rozumie, i jeśli akcja się nie odbywa w jeden dzień, ma zawsze wrażenie niekompletności, opóźnienia, obrazowania, które go drażni i złości". Mniejsza, że później Wyspiański często się ze swą teorją nie liczył, ale charakterystyczną jest dla niego ta tendencja do zwartości, do komasowania dramatu, tendencja patetyczna. Jej szczytem jest jednakowy sposób zamykania dramatów sposób, który nazwałbym „apoteozą". Gdy dramat osągnął już swoją kulminację i, zdawałoby się, wszystko zawiera już w ostatecznym, końcowym geście. Wyspiański uderza w ton najmocniejszy, dobywa wszystkie swoje rezerwy, daje widowisko jakgdyby sądu ostatecznego, sprowadzając go zazwyczaj do obrazu charonowej łodzi, którą osoby dramatu popłyną w wieczność. Apoteozą są te zakończenia nie dlatego, że wprowadzają ognisty wóz eljaszowy, ale dlatego, że przerzucają punkt ciężkości z człowieka na jakąś wzię, w której człowiek zatraca się i jednocześnie wyolbrzymia. Że i tak patetyczną budowę, patetyczną z założenia, upatetyczniają potężnym zamykającym akordem. Już nie dramatycznym, dramat się bowiem skończył. To żywy fresk, gest ostateczny, przetłumaczony na nadnaturalnych rozmiarów kształt i barwę.

(d. c. n.) *Henryk Drzewiecki.*

PRZEDWIOŚNIE

Zagony pęcznieją dymiąc mgły powiewnej smugami —
wiatr nocami zapładnia koślawe, senne drzewa;
księżyc opuchły włóczy się wilgotnemi polami,
które ugniecie jak ciasto najbliższa, wiosenna ulewa.

Świt mleczną wypływa strugą z czarnych pieczar boru,
srebrzy grzędy błota, sady, mokry płot. —
Wieś patrzy w wązką drogę oczami upiora,
gdzie w błocie ślad zostawił jakiś złodziej — łotr.

Żarłoczne wrony błąkają się nad zgnilemi szlakami,
kraczą żałośnie o pustce obór, pastwisk i pól.
Chłopi niosą do młynów ostatnie ziarno sakwami —
dumają o glebie, gnoju i szprychach złamanych kół.

Pod chłodnym stropem nieba wiją się mleczne dymy
z pod drewnianych skrzydeł strupieszałych chat;
Kołysze się chłopska nędza w tych kędziorach dymu,
walka i dzika rozpacz utraconych lat.

Ziemniaki tej zimy wymarzły w zlodowaciałych jamach,
chleba ciężkie głony przeżarł głód;
wory nadęte, koszyki w komorach kłamią,
że nakarmią chłopów za wiosenny trud.

Umorusane dzieci płaczą przy brudnym kominie,
w rozpaczy drą paznogciami z pieca wapno, tynk —
matny pieczą zwiedłe ziemniaki w łupinie, —
mają twarze smętne, szare jak cynk.

Maurycy Rum.

SERGJUSZ JESENIN

* * *

Powolutku odchodzimy wszyscy
tam, gdzie spokój i gdzie cisza błoga.
Może wnet już czas wskaże bliski
i mym szczątkom iść znikomym w drogę.

Gaju słodki, co tak w upał chłodzisz!
Ziemio droga! Piasku równin złoty.
Przed orszakiem tych, co w cień odchodzą,
Nie potrafię ukryć swej tęsknoty.

Ukochałem nazbyt na tym świecie
to, co duszę w ciało przyobleka.
Pokój drzewom, które w znojnem lecie
zapatrzyły się w różowość rzeki.

Wiele myśli przemyślałem hardych,
wiele pieśni ułożyłem tkliwych.
I na ziemi tej, na ziemi twardej,
tem, że żyłem, byłem ja szczęśliwy.

Żem całował usta, co najsłodsze,
deptał kwiaty, w trawie łąk się tarzał
i żem zwierząt, niby braci młodszych
nigdym, nigdy bić się nie odważał.

Wiem, że żadne gaje tam nie chłodzą,
że nie dzwoni żyto szybkim deszczem.
Przed orszakiem tych, co w cień odchodzą,
czuć dlatego będę zawsze dreszcze.

Wiem, że w kraju tym, gdzie się obudzim,
żadna niwa się nie zazieleni.
I dlatego drodzy mi są ludzie,
którzy ze mną żyją tu na ziemi.

Przełożył *Andrzej Jaworski.*

FANTASTA I JEGO CIEŃ

I.

Tryb życia instruktora gimnastyki Pileckiego był dość prosty. Robił prawie wszystko to, co inni mieszkańcy Podburza, dzięki czemu nikt nań uwagi nie zwracał. Jeden Klot, obarczony liczną rodziną sędzia, przestawał odrazu ziewać na zebraniach towarzyskich, gdy ukazał się Pilecki. Nieproszony, przysiadał się do niego, przechylał ku niemu ogromną osadzoną na długiej szyi łysą głowę i wpatrywał się weń z pewną pokorną ciekawością. Pilecki nie zauważał Kloła. Milczeli obaj.

Zato Pilecki szczególnie się uśmiechał. Owszem, rozszerzał przytem usta, czasem aż do zębów, lecz wszystko to wyglądało inaczej, niż u innych. Czuło się, że Pileckiemu pilno do ułożenia z powrotem w szarych oczach bladej mgiełki nudy. Klot, widząc uśmiech Pileckiego poruszał się niespokojnie, przerabiał palcami, jakby chciał go o coś zapytać, uspokajał się dopiero, gdy Pilecki uśmiech wypłaszał. Wszyscy wiedzieli o tem, że Pilecki jest punktualny, grzeczny, sumienny,

i umie się witać i żegnać, według zasad towarzyskich. Lecz pozatem, nic o nim nie było wiadomem.

Latem, spędzał czas na piaskach i szumiących kryształowych wodach Dniestru. Zdarzyło się, że po kąpieli z łatwością odszukał krzak, w którym złożył ubranie, ale ubrania, nie. Wrócił równo odmierzonym. pięknym krokiem do domu, obojętny i spokojny, choć poza szczupłym kostjumem kąpielowym i słomkowym kapeluszem, nie miał na sobie nic zego. Na ulicach kłaniał się grzecznie wszystkim znajomym, bez różnicy płci. Bliżsi znajomi stwierdzili z zadowoleniem:

— Pilecki, to poprostu oryginał .

Tegoż popołudnia złożył mu wizytę Klot. Wszedł, oglądnął się podejrzliwie. jakby z obawy podsłuchu i rzekł z głębokim ukłonem.

— Pan jest człowiekiem. O tak! człowiekiem o całą głowę wyższym — uścisnął mu rękę i zakołysawszy się na cienkich długich nogach, wyniósł swą świecącą głowę.

Popołudniu zamykał się Pilecki w sali gimnastycznej. Sprawiał tyle hałasu i tumultu, jakby tam ćwiczyły conajmniej dwa oddziały Sokoła rzemieślników, którzy byli dzicy, pękali z byle czego ze śmiechu, i rozdzierali zawsze jakiś materac, lub łamali szczeble drabin. Jednego dnia naszedł go tam woźny z jakimś listem. Gdy otworzył swoim kluczem szatnię, z przerażeniem usłyszał, że Pilecki klnie, krzyczy i wścieka się o coś, zadziwiająco olbrzymim, huczącym głosem, nabrzmiałym nadomiar echem pustej sali. Uciekł na podwórze.

W pół godziny potem Pilecki wyszedł kamienny i spokojny, bez śladów przeżytej burzy. Było to tem dziwniejsze, że na lekcjach nigdy głosu nie podnosił i największych połamańców traktował pobłażliwie. Drugą sensację sprawił Pilecki na przyjęciu jubileuszowem dyrektora fabryki Szawrota. Jak było do przewidzenia: nie rozmawiał, jadł i pił mało, a gdy panowie przeszli przed tańcami na ganek, by wypalić papierosa, Pilecki, w obecności wszystkich wykonał kilkadziesiąt przysiadów z gwałtownem wyrzucaniem ramion. Na szczęście wszyscy byli już podchmieleni i wzięli to za dobry dowcip. Dwóch nawet spróbowało go naśladować. Gruby komisarz Skarżyński, któremu zresztą zaraz coś pękło i oczywiście pergaminowy typowiec Klot, któremu Pilecki pomógł wstać, a nawet otrzepał mu ubranie. Gorzej, że właśnie wówczas, gdy Klot rozcierał śpiczaste kolana, w ogród oświecony jasno księżycem, wpadł z kwikiem wesołym młody wieprzak, przycwałował do Pileckiego i począł się z nim radośnie witać, jak pies. Okazało się, że Pilecki kupił go na zarznięcie, ale, odkrywszy w nim przedziwną inteligencję, trzymał w domu zamiast psa, a nawet wyuczył go aportowania. Klot nie chciał w to aportowanie wierzyć, wyszedł do ogrodu z wieprzkiem, który wabił się Kalkuta i począł rzucać mu patyki i kamienie. Kalkuta wszystko to znosił mu akuratnie pod nogi. Było to nawet dość zajmujące, bo Klot był łysy, patykowaty i wysoki więcej, niż kiedyindziej, przytem ubrany w czarny, niezmiernie długi anglez, zaś wieprz, w świetle księżyca, był niezwykle biały. Klot schylał się i rzucał sztywno, zamknięty w przylepłym do niego od lat smutku, a Kalkuta był tak pożerany szałem kwiku radości, iż zdawało się, że za chwilę dostanie skrzydeł i uleci w dobrotliwą, białą pyzę księżyca.

Po pewnym czasie Pilecki gwizdnął na zwierzaka i napędził go do domu. W rezultacie dano Pileckiemu jakiegoś psa niewyraźnej rasy, do tresury. W dwa dni później, Pilecki psa właścicielce zwrócił, dodając kilka niepochlebnych uwag o jego inteligencji.

Teraz stał się Pilecki przedmiotem zainteresowania wielu mieszkańców, rzec można, stanął na podwyższeniu. Lecz nie długo. Na wiosnę wyszedł z Kalkutą nad Dniestr. Coś zainteresowało zwierzaka w nurcie wzburzonej lodami rzeki i jednym susem znalazł się w odmęcie, gdzie począł żałośnie kwiczeć. Pilecki nie zdążył go uratować. Rzucił się za nim, lecz wieprzak umknął mu porwany krą i pożaglował ku dalekim lądom.

Gdy dziwiono się, że Pilecki nie może zapomnieć swego towarzysza, odpowiedział raz nadspodziewanie poważnie:

— Była to jedyna istota do mnie przywiązana. I dodał zagadkowo:

— Jest to nawet nauka dla mnie.

II.

Po śmierci Kalkuty Pilecki spoważniał znowu. Ćwiczył, jak dawniej, Sokołów, jak dawniej hałasował samotnie, a po powrocie do domu, kładł się w mroku na kanapie i oddychał ciężko.

Każdej niedzieli zamykał się w trzecim pokoju, do którego nikt przystępu nie miał. Raz podkradła się pod okna tego pokoju właścicielka nieinteligentnego psa. Ku swemu zdziwieniu nie zauważyła w pokoju żadnej kobiety. Był sam tylko Pilecki. Siedział przy stole zastawionym kilkoma palmami, fotografjami i globusem niezwykłej wielkości. Pokręcał zwolna ów globus i wpatrywał się weń płonącemi oczyma.

— Warjat — pomyślała — i przestała myśleć o Pileckim.

Nikt go nie zgłębił, nikt go nie zrozumiał, czemu Pilecki klnie, ćwicząc samotnie w sali gimnastycznej i czemu wysiaduje przed globusem i rozkłada mapy. Aż jedno małe zdarzenie zdradziło go i odarło odrazu z wszelkiej tajemnicy. Pewnego wieczora letniego, koło godziny dziesiątej, wybrał się Pilecki do sali ćwiczeń. Za nim posuwał się ukradkiem smutny, czarny Klot.

Pilecki począł ćwiczyć. Z początku spookjnie obchodził salę rozmaitym krokiem. Unosił nogi i wywijał giętkiemi ramionami. Potem skoki. Umiarkowane, lekkie, wreszcie coraz szaleńsze, niepojęte, przerwy i loty w dal, i na wysokość.

— Durniu!... — usłyszał nagle Klot — boisz się? Boisz się głupich stusiedemdziesięciu centymetrów? drżą ci kości?... marsz!! — tupot gwałtowny. Strącona tyczka trzasnęła złowieszczo i Pilecki wybuchnął potokiem przekleństw. Wspaniały, krzepki głos rozbijał się w pustej sali, jak dzwon. I znowu krótkie, drapieżne sapanie przed skokiem i rozpaczliwy bełkot wymysłów po każdym nieudanym. Wreszcie okrzyk ulgi skończył partję skoków i Pilecki począł bujać na linach. Z ust jego wylatywały szybkie okrzyki grozy, czy rozkoszy. Nagle puścił liny, przeleciał z krzykiem niemal pół sali i chwycił bujające naprzeciw kółka trapezu.

Klot patrzył smutnemi, zielonemi oczyma. Potem stała się rzecz niespodziewana. Pilecki puścił przed-

wcześnie liny, minął z wyciągniętemi rozpaczliwie ramionami uciekające ku ścianie kółka trapezu i spadł z potwornym okrzykiem wściekłości na posadzkę.

Na chwilę ocknął się i rzekł struchlałemu Klotowi:

— Świat się zawalił.

Lewa noga zrosła się równo i prosto, prawa zamarła na wieki, zgięła się w kolanie i Pilecki został kaleką.

Rzecz dziwna. Dopiero teraz stał się rozmowny i opowiadał wszystkim, aż do znudzenia.

— Odłożyłem już trzy tysiące na podróż. Rozumie pan? Chciałem wyjechać w świat — daleko. Chciałem pójść młodym. A młodość trzeba żywić i ćwiczyć. Czyż mając zdrowe ciało można tu żyć, w waszem zgniłem miasteczku? Ach — wy nic nie wiecie. Zapomnieliście o puszczach wiecznie zielonych, o wulkanach japońskich wysp i o tych częściach Afryki, gdzie nikt jeszcze nie był — nikt! Chciałem zmierzyć świat konno, chciałem samotnie jechać nocami przez stepy,— z gwiazdami nad głową. Czy myśli pan, że nie pokonałbym klimatu? Ja nie chciałem być starym! Wyjechałbym po śmierć — nie czekałbym co potem, z garbem na plecach — a teraz muszę. Nic już nie zrobię. Mam już lat czterdzieści trzy. Muszę cierpliwie czekać na śmierć. Może jeszcze całych dziesięć lat, a może dwadzieścia.

Potem wysłuchiwał go już tylko Klot. I on jeden odwiedzał go, wysiadywał z nim w trzecim pokoju, gdzie całemi kwadransami wpatrywali się w palmy i mapy.

Stefan Balicki.

NA MARGINESIE

W PARĘ TYGODNI po p. Teresie Sapieżynie (Wilczyca) wystąpiła p. Marta Krasińska z powieścią p. t. „Wolny ptak". Uważamy za zjawisko nader dodatnie, gdy ludzie różnych zawodów, czy też sfer imają się literatury. Wnosi to do obiegu literackiego nowe obserwacje, wartości, równocześnie rozszerza zasięg amatorów, zajmujących się tą sztuką piękną.

Książka p. M. Krasińskiej („Wolny ptak" bowiem na miano powieści nie zasługuje) obiera sobie za przedmiot to pole obserwacji, o którem pisaliśmy, mówiąc o „Wilczycy" p. Sapieżyny, t. j. arystokrację. Istotnie byłoby chyba rzeczą słuszną i najsłuszniejszą, by pisano o rzeczach, czy tych ludziach, których się najlepiej zna. Niestety, wydaje się nam, iż w książce swej p. Krasińska nie przewalczyła, nie przezwyciężyła ani jednego z tych pozornych, banalnych przesądów, które składają się na miano t. zw. arystokracji. A więc osoby występujące w tej powieści, są nadmiernie subtelne, sytuację swą społeczną traktują nader przesadnie, niby jakowąś misję, nb. żadnemi czynami nieusprawiedliwioną.

Nie przemogła też autorka przykrego snobizmu, t. zw. oczytania, „smaku" artystycznego i t. d. Każda teza, każde ważniejsze zdanie popierają tu zbyt często nagromadzane cytaty i powiedzenia wielkich duchów, sztuka, jak malarstwo i muzyka ustawicznie musi przyczyniać się do „podnoszenia ducha", czy wysubtelniania przeżyć, — słowem literatura niedobra, sztuczna, literatura, w której nie dotarto i nie kuszono się o dotarcie do prawdziwej głębi ludzkiego przeżycia.

* * *

„RUCH LITERACKI" pod red. dr. B. Gubrynowicza za luty przynosi dwa artykuły o nieco bardziej bojowem i powszechniejszem znaczeniu, a mianowicie „Kryzys polonistyki" M. Piszczkowskiego, oraz bardzo ciekawy i trafny w swych tezach artykuł p. A. Chorowiczowej p. t. „Nasze czytelnictwo popularne".

Artykuł p. Piszczkowskiego jest w premissach swych conajmniej groteskowy: Oto autor skarży się na zbyt wielką popularność polonistyki na uniwersytecie. Woła z ubolewaniem, — iż wykształcenie wyższe, zwłaszcza literackie weszło w modę — jak krótkie sukienki i obcięte włosy. P. Piszczkowski pragnąłby dopomóc czasowi i przyśpieszyć depopularyzację wyższego wykształcenia. Aby **nie wypadało** chodzić na uniwersytet, a broń Boże na polonistykę.

Wiemy dobrze, że polonistyka jest przepchana słuchaczami, rozumiemy jednak, że jest to odruch naturalny i zdrowy. Ostatecznie dopiero teraz można swobodnie uczyć się języka polskiego w Polsce i badać polską literaturę. Wiemy, że może to być niewygodne dla badaczów, czy smakoszów, — jak zresztą wiele rzeczy jest niewygodnych i niemiłych w tym względzie, w kraju, który dźwiga się z niewoli i jej tragicznych zaniedbań w dziedzinie kultury. Od tego jednak —do tego, by wzywać pomocy boskiej dla depopularyzacji polonistyki jest chyba tak daleko, jak daleko jest w sensie obywatelskiego poczucia — duszenie się kilku rodzin robotniczych w jednej izbie, — by jakiś czcigodny neurastenik mógł się rozkładać wygodnie w swych dziesięciu pokojach.

Artykuł pani A. Chorowiczowej daje nader trafną charakterystykę naszej literatury powieściowej popularnej, określając ją, jako słabo fachową, dyletancką, głupią, lecz moralnie nieszkodliwą. Badając czytelnictwo powojenne, p. Chorowiczowa z zupełną słusznością zwraca uwagę, iż przy zmianie warunków tego czytelnictwa, należy brać pod uwagę fakt, iż kobieta, główna czytelniczka powieści przedwojennej, zaczęła po wojnie razem z mężczyzną pracować na chleb. Albo więc nie ma czasu na lekturę, albo wymaga lektury znacznie lżejszej.

* * *

UTALENTOWANY POETA, Gabrjel Karski, redaktor działu polskiego w redakcji pisma wychodzącego w Egipcie p. t. „Le Flambeau", zwraca się przez nas na tej drodze do kolegów o zasilanie działu polskiego. „Le Flambeau" jest oficjalnym organem grupy poetyckiej „La Lanterne Sourde", pismo redaguje Ahmad Rachad. Adres pisma 33, r. Kasr-El-Nil, — le Caire na ręce Gabrjela Karskiego.

jkb.

POEZJE KAZIMIERZA WIERZYŃSKIEGO *)

Przyswajalność wierszy Kazimierza Wierzyńskiego wypływa w dużym stopniu z ich muzycznego rytmu. Dzięki tej naturalnej, leżącej w organizacji twórczej poety, skłonności do instrumentacji rytmicznej każdego spostrzeżenia, każdej myśli, zrodzonej w godzinie dojrzenia, powstają walory muzyczne wierszy Kazimierza Wierzyńskiego. Poeta w wizji, ujętej w formę zdecydowanie realistyczną, ukazuje przebieg procesu tworzenia, —

„Wiersze się we mnie, jak wielkie
Jabłka czerwone kołyszą,
Gęsty mlecz rozbiera sokami,
W tłuste uderza listowie,
Wiatr mnie gorący opływa
I duszną odurza ciszą,
Miąższ ścieka w serce i krwawiąc
Sączy się słowo po słowie".

Uczuciowość Wierzyńskiego nie nosi cech zdawkowej czułostkowości, nie wyrasta z metody nadużywania wrażliwości czytelniczej słowami zużytemi, nie popartemi żadną potrzebą. Rozpleniła się w ostatnich czasach w poezji polskiej rozlewność liryczna, nieujęta w karby kompozycyjne, gadatliwość sentymentalna, granicząca o miedzę z popisami grafomanji. Z tych względów obowiązkiem sprawozdawcy jest podkreślić tę odmienność uczuciowości w poezjach Wierzyńskiego, uczuciowości, wyrosłej na podłożu pogłębień i przepojonej mądrością dyskrecji. Wierzyński wydobywa efekty środkami zdumiewająco prostemi, bez uciekania się do nastrojowości lub uroczystego patosu, za którym czai się przeważnie cień mistyfikacji.

„...Jestem poetą i nie wiem którędy
Uciec od widma, co się za mną wlecze, —
Jak klęski, zbieram ten świat i z werenty
Wieczorem widzę, że te martwe gruzy
To nie Girgenti ani Syrakuzy,
Lecz serce człowieka".

Poezje Wierzyńskiego zawarte w „Rozmowie z Puszczą" i „Pieśniach Fanatycznych", ujawniają znaczne pogłębienie myślowe. Zestawiając „Wiosnę i Wino" czy „Wróble na dachu" z ostatniemi zbiorami wierszy, trudno oprzeć się zdumieniu, że autorem tych i tamtych wierszy jest jeden pisarz. Wierzyński w krótkim czasie przeszedł gruntowną ewolucję w kierunku rozwoju zainteresowania dla zagadnień filozoficznych. Z poety upojonego wiosną i winem, oddanego beztrosce młodości, dla której wypatrywanie wróbli na dachu było zajęciem nie do pogardzenia, wyrasta pisarz biegunowo odmienny, poeta - myśliciel, sięgający poza zewnętrzność i ludzi i rzeczy. Na twórczości Wierzyńskiego, jak na najdoskonalszym preparacie anatomicznym, obserwować można proces przeobrażeń rozwojowych, idący po linji nieustannych przełamywań wewnętrznych. Uparta poszukiwawczość nie pozwala poecie kostnieć w zdobytych i opanowanych formach, a różnorodność treści systematycznie narastającej, pobudza go do wypowiedzeń, ujętych w nowe formy.

„Poco mnożysz się we mnie świecie nieobjęty,
Gdy serce już cię zmieścić i okryć nie umie",

żali się poeta, a jednak —

„Wiem dawno, że chociaż jest wszędzie inaczej,
Zawsze we wszystkich ludziach jest przecież tak samo".

Ustalenie podobieństwa radości i smutków, podobieństwa tęsknot i dążeń, przynosi łaskę uspokojenia. Nie na długo wszakże! Zalążek nowych trosk lęgnie się w zakamarkach serca, by urosnąć w niepokojące pytanie: „jakże bezmierny ogrom" świata „sobą obdzielę"?!

„Wiosna w Rzymie", jeden z najgłębszych wierszy Wierzyńskiego, obnaża tragiczne samotnictwo ruin i zabytków przeszłości w obliczu rozkwitającej wiosny, gdy „powietrze jest winem, winem przeszklonem w ametysty", gdy ciepły wiatr „pachnącym oddechem pieści słupy zapadłe w prastarość".

Poeta stwierdza konieczność uświadomienia sobie celu, dla którego człowiek zostaje powołany do życia. Samo istnienie bez wiary w celowość jest raczej wegetacją piaskowców i kwarców, poddających się bezwolnie i ślepo chemicznemu precesowi przeobrażeń. I dlatego

„...Wychylmy się z siebie, spójrzmy raz jedyny
Poza koło istnienia, nad światem rozpryśli,
Byśmy nie wiedząc z jakiej dobyci głębiny —
Wiedzieli chociaż pocośmy nad brzeg jej przyszli".

Czyż jednak jesteśmy w stanie przeniknąć tajemnicę istnienia? Nowa fala niepewności i zwątpień porywa poetę. „Nie jestem niczem więcej jak tylko pyłem, co kładzie się milczący na świata koleje". Bezradność dochodzi do głosu, niewiara opanowuje serce. Wszakże „największem szczęściem jest miłość", ale pono „szczęście największą zbrodnią". Ku czemu iść, na jakich drogach poszukiwać prawdy? Zewnętrzne piękno, uwodzące zmysły, jest grą pozorów, które maskują pustkę i nicość. „Nienawidzę urody, co serce uwodzi milczeniem rzeczy martwych i głuszą przedmiotów". Pozostaje trud dochodzenia własnej prawdy, mozół dokopywania się własnego światopoglądu, chociaż

„...jak trudno ku sobie przedzierać się puszczą,
Pośród nocy się spotkać i poznać w ciemności,
Zanim na ustach słowa wygasną miłości
I nim ręce się na dół bezradnie opuszczą".

„Pieśni Fanatyczne" to — protest poety, uwikłanego w matnię urbanistycznej beznadziei, protest osaczonego głodem wrażeń człowieka, świadomego niedosytu własnego i współbraci. Poeta nie widzi możności zaradzenia odwiecznemu złu, chyba że

---

*) Kazimierz Wierzyński — „Rozmowa z Puszczą", Warszawa, 1929 r. Wyd. J. Mortkowicza.

Kazimierz Wierzyński — „Pieśni Fanatyczne", Warszawa, 1929 r. Wyd. J. Mortkowicza.

„Przyjdzie zemsta w natchnieniu dzikiem,
Z włosów rozwianych pożarem zadymi,
Ziemię ognistym obmaca językiem,
Niebo wytarza w łunie olbrzymiej,
Świat rozpalonem piekłem oświeci,
Planetę całą rozsadzi wybuchem". —

Odcięte od zasilających życiodajnym nurtem arteryj przyrody, obwarowane sztucznie wytworzoną samowystarczalnością, miasto, produkuje typ człowieka zobojętniałego dogłębnie na odruchy bezpośredniości natury.

„Dachami, jak pobojowiskiem,
Ciągną wiosenne noce,
Wiatr w patetycznym szumie,
Wielkie wygrywa dramaty,
W miastach ich nikt nie rozumie".

Serce poety nie może pogodzić się z tym stanem rzeczy. Odpychając natrętne widmo rzeczywistości, zwraca się poeta do Stwórcy i głosem nabrzmiałym troską i niedolą woła:

„Ratuj nas —
Z konwulsji zastygłych kamieni,
Pozwól zdjąć z pleców mury,
Wyjść z tej ulicy, co pali nam stopy
Asfaltem wszystkich placów Europy, —
Pozwól wyzwolić, ocalić człowieka
Z gorączki, z popłochu, nieprzytomności, —
Niech stąd uchodzi, niech stąd ucieka,
Niech wszystkich zwoła i wyprowadzi
Bezludnym, pustym wieczorem
Z miasta kamiennym, tkniętego pomorem
Na emigrację wolności".

Poezje Kazimierza Wierzyńskiego są zjawiskiem w literaturze polskiej nieprzeciętnego znaczenia. Nieprzeciętność tego zjawiska wyrasta z rzetelności talentu, pogłębianego nieustanną pracą nad sobą.

E. Kozikowski.

POLONICA ANGIELSKIE

Z dziejów bohaterstwa polskiego.

Pani Monica M. Gardner zaznajamia angielskich czytelników z postacią Romualda Traugutta w artykule „The last dictator of the Polish Rising of 1863", który ukazał się w poważnym kwartalniku literackim „The Dublin Review", w pierwszym tegorocznym tomie. Kwartalnik ten jest organem opinji katolickiej w kraju, gdzie z ruchem tym skojarzyły się bardzo silnie wysiłki odrodzenia społeczno-etycznego, pozbawionego wielu ujemnych cech tradycyjnego klerykalizmu na kontynencie. Ruch katolicki w Anglji ma jako przywódców ludzi o wysokim poziomie zdolności umysłowych i zalet charakteru.

Autorka szeregu książek o Polsce, m. in. monografij o Kościuszce, Sienkiewiczu, Krasińskim, opisuje rolę dziejową ostatniego dyktatora powstania 1863 r., podkreśla ścisły związek pomiędzy głęboko chrześcijańskim, rzymsko-katolickim światopoglądem R. Traugutta a wolą jego niezłomną, jako polityka i wodza w roli wyjątkowo odpowiedzialnej i tragicznie niewdzięcznej. Nie tając mistycznych źródeł jego ustosunkowania się do sprawy polskiej, do walki raczej na śmierć niż na życie z wszechpotężnym najeźdźcą, Monica Gardner zastrzega się stanowczo przed określaniem go jako marzyciela i umiejętnie grupuje fakty, wskazujące wyraźnie jak dalece wszystkie wysiłki jego dyktatury odpowiadały w postaci, zredukowanej wprawdzie fatalną rzeczywistością, funkcjom istotnym władzy naczelnej wielkiego cywilizowanego narodu, ulegającego chwilowo przemocy najeźdźcy-barbarzyńcy.

Aureola męczeństwa, okalająca profil wodza, wyzutego z wszelkiej opieki nawet praw wojny, bo ginącego na szubienicy, pod piórem angielskiej autorki odzwierciadla i wolę niezłomną narodu, i głębię pojmowania dzieła wyzwolenia swego jako czynu politycznego i aktu moralnego zarazem w każdej chwili, w każdym calu.

* * *

Uznanie dla polskiego komentatora Platona.

W jednym z ostatnich zeszytów tygodnika londyńskiego „The Times Literary Supplement" ukazała się obszerna, anonimowa, jak wszystkie w tem piśmie, recenzja najnowszej pracy profesora wileńskiego uniwersytetu im. Stefana Batorego, Wincentego Lutosławskiego, wydanej po angielsku p. t. „Pro-existence and Reincarnation".

Poważny tytuł do godności pierwszorzędnego uczonego-filozofa posiada w oczach angielskiego recenzenta prof. W. Lutosławski z racji usług, oddanych sprawie filozofji trzydzieści dwa lata temu przez wielkie dzieło o następstwie chronologicznem djalogów Platona: „Uczony ten pierwszy spożytkował w sposób mistrzowski cały aparat krytyki filologicznej, analizy stylu pojedyńczych djalogów, dla rozwiązania tego ważnego zagadnienia raz na zawsze".

W najnowszem dziele prof. Lutosławskiego trudno nie dojrzeć przemożnego wpływu Platona na sformułowanie poglądów metafizycznych, potwierdzających i rozwijających z większą dozą filozoficznej pewności to, co stanowiło rdzeń poglądów wielkiego filozofa greckiego, wiarę w niezniszczalność dusz. „Styl tego badacza Platona przypomina nam rozmach i siłę samego Platona, lecz niema w nim tej artystycznej mglistości, która towarzyszy najwznioślejszym porywom poetyckim samego Platona".

Analizując najdonioślejsze wyniki filozoficznych rozważań polskiego myśliciela krytyk dochodzi do wniosku, że dostarczają one niepospolitego dowodu żywotności i harmonji filozofji obecnie w centralnej Europie.

A więc są jeszcze, w tej części Europy, zdaniem fachowej krytyki angielskiej twórcze warsztaty oryginalnej myśli filozoficznej — poza Niemcami.

* * *

Skarga—Mickiewicz—Ossoliński.

Pierwszy w tym roku tom słowiańskiego przeglądu, wydawanego w Anglji p. t. „The Slavonia Review", przynosi drobne wprawdzie przyczynki, dotyczące kultury polskiej, lecz przynajmniej prezentu-

jące cudzoziemcom szczyty niejako polskiego dorobku literackiego, religijnego, naukowego.

Prof. J. Krzyżanowski omawia wyczerpująco ostatnią monografję o Skardze pióra prof. S. Windakiewicza. Pani Dorotha Prall Radin ogłasza tłumaczenia trzech sonetów i jednej ballady A. Mickiewicza. Prof. R. Dyboski p. t. „The Centenary of a Great Home of Research in Poland", kreśli dzieje założenia i stuletniego rozwoju zakładu narodowego im. Ossolińskich, zatrzymując się dłużej na postaci szlachetnego mecenasa literatury i nauki Maksymiljana Ossolińskiego, znanego za życia nietylko w Polsce, ale i w sąsiednich krajach słowiańskich.

Nie jest to wiele o Polsce na tom cały o 250 stronach, ale na odcinku wybitnie rusofilskim i to ma swoja wartość.

T. Gleyden.

KRYSTYNA, CÓRKA LAWRANSA*)

Dzieło Sygrydy Undest, którego dwa olbrzymie tomy już wyszły a trzeci i ostatni wkrótce się ukaże, jest zjawiskiem literackiem wszechświatowej miary. W istocie, waga artystyczna tego utworu przytłacza swoim ciężarem całą prawie produkcję powieściową ostatnich czasów, jest dalszym ciągiem wielkiego dziedzictwa pisarskiego Dostojewskich, Balzac'ów, Hamsun'ów, Conrad'ów i staje się jakby renesansem ogromnego, prawie zanikającego, trudu epickiego, w którym z jednakową mocą przychodzi do głosu dramat i liryka ludzkiego istnienia.

Dziś szczególnie budzi ten utwór podziw. Dziś, kiedy nagół strzęsieni niedawnemi dziejowemi przeżyciami i drżący w poczuciu nowych, ludzie zdobywają się jedynie na nerwowe, pełne skrótów zarysy wyłaniającej się epoki, tworząc jakby na wulkanie, dziś powtarzam, wprost niewiarogodną wydaje się długość i spokojność tego oddechu pisarskiego, z jakim zbudowana jest „Krystyna, córka Lawransa".

Dzieła tego gatunku zdają się zatrzymywać na chwilę burzliwy tok bieżącego życia, zdają się wciągać na samo dno tych koryt, któremi przebiega współczesność, uczą poznawać wiry i prądy egzystencji w postaci jakichś pierwszorzędnych, surowych objawów bytu. Gdy się po takiem nurkowaniu znowu wypłynie na powierzchnię dnia dzisiejszego, psychika nabrzmiewa perspektywą głębi w obliczu wszystkich przepaści i wszystkich mielizn tego dnia, człowiek mimowiednie przybiera historyczną postawę w stosunku do pieniącej się aktualności. Wpływ takich książek jest niewątpliwie dźwigający i wyzwalający. Pozwalają one przeżyć i ogarnąć proces życia od najprostszych, anegdotycznych założeń realizmu do jego metafizycznych konsekwencyj, organizują dziejową świadomość, kształtują ocenę hierarchji wartości.

Powieść Sygrydy Undset wykrojona jest z życia norweskiego średniowiecza. Autorka zaczyna od szczegółowego opisu spraw tej komórki rodzimej, w której rośnie Krystyna, przedstawia na tem tle życie Krystyny, ażeby wreszcie związać konsekwencje tego indywidualnego istnienia z bytem całej norweskiej powszechności. Los Krystyny staje się łącznikiem między przeszłością a przyszłością, momentem centralnym w przeżyciach trzech pokoleń.

Łączność to jednak typu wskroś psychologicznego. Autorka wpoiła w naturę bohaterki cechy ojców, jako moralną podstawę egzystencji, kazała jej rozrastać się w serdecznym związku z temi wpływami, ażeby z nich uczynić... tragiczną odskocznię do własnego „buntowniczego" życia Krystyny. Gromadzone mozolnie, to w zwolnionem, to w przyśpieszonem tempie przeżycia Krystyny, z całym naturalizmem prawdy życiowej, urastają w końcu do ogromu symbolu.

Jakiej tu trzeba było władzy nad materjałem i jakiej miłości w zżyciu się z nim, żeby na tak olbrzymim terenie opisu nie wsiąknąć w fakty, ale je zwolna i twardo układać na wysokim poziomie syntetycznego opanowania. Stworzyć symbol nie w sugestji jednego kulminacyjnego zdarzenia, gestu czy wyrazu, lecz w nieustającej ciągłości zdarzeń, w samym procesie zwyciężającego i zwyciężanego czasu!

Postarajmy się wniknąć w mistrzowstwo tej konstrukcyjnej techniki, aby wydedukować z obrazowej materji życia ową psychiczną rozpiętość symbolu.

Ród Lawransa jest jednem z najgłębszych wcieleń klasycznej, biblijnej osiadłości bytu. Lawrans to ideał męża, ojca, gospodarza, rycerza. Ale wszystkie te funkcje i role życia przeszyte są sumieniem człowieka i związane w jakąś męczeńską całość. Potęga jego wyrasta z tajonego aż do śmierci tragizmu, wyrażającego się w przetwarzaniu wszystkich uczuć, myśli, i wszystkich czynów na użytek boskiej niemal potrzeby sprawiedliwego życia. Płonie w nim żarliwe łaknienie czystości, głęboko zamknięta choć wiecznie napięta wola wykupienia grzechów ziemskiego żywota — ofiarą z własnego życia. Ale wyrzeczenie się czyni go coraz piękniejszym i większym.

Tego rodzaju postawa prowokuje oczywiście wszystkie żywioły nieba i ziemi.

Pragnienie świętości zwala na niego najsroższe klęski ludzkie — i te właśnie ciosy najbliższego, najdroższego mu otoczenia, dynamizują jego człowieczeństwo.

Predystynowany do ascetycznych wyrzeczeń, chcący za młodu zostać mnichem — powołany jest do nieustannej walki — rycerz walczący ze smokiem. Ożeniono go z kobietą, której nie kochał, która kochała innego. U schyłku lat dowiaduje się, że dano mu za żonę uwiedzioną dziewczynę. Większość dzieci zabrała śmierć. Pozostała Krystyna i jej maleńka siostra.

Krystyna wzięła całą jego tkliwość, Krystyna miała spożywać owoce wszystkich ojcowskich ofiar, miała żyć szczęściem wolności, radością spokojnego sumienia. I oto córka zdradza ojca. Nie przewidziała mądra, zabezpieczająca miłość Lawransa, że w córce

*) Sygryda Undset: Krystyna córka Lawransa, Tow. Wyd. „Rój".

odżyją tajone namiętności ojcowskie, że wybuchną z tem większą mocą im bardziej były w nim ujarzmiane.

Krystyna cała oddaje się miłości, której nie znał jej ojciec. To, z czego on czynił bolesną ofiarę — życie serca — staje się jedynem, wszystko pochłaniającem życiem Krystyny. W życiu tem właśnie rozpętała się ta burza, którą Lawrans więził w swej duszy, burza łamiąca wszystko: i zbożność domu i jego tradycje i własne zasady i rzecz największą — miłość i honor ojca.

Krystyna zrywa umówione z prawym i zacnym Szymonem Dorre narzeczeństwo, i oddaje się człowiekowi, który jest banitą, rozpustnikiem, człowiekowi szalonego ryzyka i słabej woli.

Tragizm postępku Krystyny tkwi w tem, że właściwie realizuje ona nieświadomie dla siebie i ojca — to przeznaczenie, do którego pobudzały ją psychofizyczne konieczności rodowe. Los jej, pozornie tak odrębny i wrogi życiu Lawransa — jest dalszym ciągiem, jakby przedłużeniem jego egzystencji. Na pierwszy rzut oka, bowiem, wydaje się, że istnienie Krystyny jest wyuzdaną grą na namiętności, żywiołową ekspansją sił erotycznych, depcących życie etyczne a więc życie ojca.

A przecie dzieje się wręcz przeciwnie.

I tu właśnie występuje genjusz konstruktywistyczny Sygrydy Undset. Zanurza ona swoją bohaterkę w najgłębszy odmęt miłosnej bezwolności, czyni z niej żałosną ofiarę zmysłowego, aż do zbrodniczości, odurzenia, żeby ją zwolna podnosić z upadku i wznieść do tragicznej świadomości równie ciężkich obowiązków i walk, jakie stały się udziałem cierpiącej egzystencji jej ojca, Lawransa.

Miłość opętała życie wewnętrzne Krystyny, miłość je wyzwoliła. Życie tej miłości urasta przed Krystyną gęstym lasem trudności, przez które trzeba się przedzierać ostrą i czujną wolą, iżby te wszystkie ofiary, które młoda kobieta złożyła, nie poszły na marne. Rosnąca konieczność zmagań z bezwładem i dezorganizacją własnego ogniska rodzinnego, przywraca Krystynie dawną siłę woli a z nią i poczucie moralnej odpowiedzialności. Musi przecie dotychczasowe klęski zamienić na triumfy. Budzi się w niej dawna córka Lawransa, szlachetna, wzniosła, ambitna, pełna rządnego charakteru.

Krystyna jest panią olbrzymich włości, które dźwiga z upadku, jest żoną Erlenda, którego milczącym niemal wpływem swego uczucia wychowuje i przeradza na wiernego małżonka i czynnego obywatela, jest najczulszą matką siedmiu synów — a przecie — tak, nie ulega wątpliwości — najdonioślejszym faktem w jej gospodarczem, małżeńskiem i macierzyńskiem życiu, jest fakt odżycia ducha Lawransa w jej duszy, jest wzięcie na siebie, w pokorze czyszczącego się sumienia, wszystkich brzemion, które zsyła los, służba u życia, które stało się jej życiem.

Mądrość ojca stała się funkcją istnienia córki. Trzeba się w prostocie i pokorze poddać przeznaczeniu, przemierzyć jego rozmiar drogą samopoznania, przeżyć radości i bóle tego co w niem jest dane i co w niem jest możliwe, żeby dojrzeć, w najciaśniejszych nawet pętach konieczności, do swobodnego życia, do kierowania drogami przeznaczeń.

Występuje tu na pierwszy plan religijny instynkt związku ze światem otaczającym, poczucie rozrastania się osobowości do najdalszych konsekwencyj odpowiedzialności społecznej. A przecie przeżywając w cichości i samotności te wszystkie sprawy, prawie na pół-świadomie, Krystyna ani na chwilę nie przestaje być czułem wcieleniem życia. Przeciwnie, z pogłębieniem i rozrostem zagadnień moralnych pogłębia się i rozrasta psychofizyczna dynamika jej kobiecości. Urok tej kobiecości promieniuje przekorą upartego, dumnego charakteru, a jej miłość do męża, pomimo uraz i rozterek a nadewszystko melancholijnego przeświadczenia o jego niezmiennej lekkomyślności, nie przestaje być mniej czujna i dramatyczna, niż w czasie, gdy trzeba było wywalczać zgodę ojca na ten nienawistny dla niego związek.

Od tych świetnych obrazów bytu Krystyny na dworze jej męża, od charakterystyki obyczajów rodzinnych, jako tła przeżyć osobistych, małżeńskich i macierzyńskich, powoli wciąga autorka swoją bohaterkę na szerszy teren akcji, obejmującej narodowe sprawy Norwegii. Łącznikiem staje się tu mąż Krystyny, Erlend, syn Mikołaja.

Podobnie jak Lawrans i Krystyna — Erlend jest typem psychologicznie skomplikowanym, pełnym sprzeczności. Różnica polega na tem, że pierwszych dwoje umie nałożyć hamulec woli na burzliwą różnorodność przeżyć, a Erlend każdej akcji wewnętrznej daje wyraz zewnętrzny.

W Erlendzie uosobiła autorka jakby nagi proces stającego się ciągle życia. Jest to człowiek ryzyka i namiętności, a na tle osiadłego bytu Norwegji, jej głęboko wstecz sięgającej tradycji, staje się objawem niepokoju i zdobywczej wędrowności. Nikt go tam z poważnych, zasiedziałych na ziemi i urzędach obywateli nie bierze na zbyt serjo — a przecie wszyscy ulegają porywającemu urokowi tej zmiennej, niepewnej, pełnej niespodzianek natury. Lekkomyślne ryzyko woli jest źródłem jego słabości i siły. Wydaje się, że tą właśnie surową poezją swoich odruchów i przedsięwzięć wziął na wieczne posiadanie miłość Krystyny i z najczystszych form jej cnoty uczynił namiętnego sprzymierzeńca swoich bezwzględnych, okrutnych zamierzeń.

I takim, jakim był w miłości — jest w gruncie rzeczy i na arenie działań wielkiej polityki swego kraju. Pomieszanie uczucia wzniosłości i szlachetnej dumy z nieporadną dziecinnością środków, sprawia, że zdobywca ten przeważnie staje się ofiarą. Słabość wielkich panów Norwegji z królem na czele, przypomina w pewnym sensie rozbrajającą tkliwość, jaką budzi w sercu Krystyny. Erlend, mąż dojrzały, zajmujący wysokie i ważne urzędy, sławny rycerz — działa na otoczenie specyficznym wdziękiem dziecka. Znacznie starszy od Krystyny, nieświadomie traktowany jest przez nią, jak najstarsze dziecko pośród jej siedmiu synów.

Gdy schwytany za usiłowanie przewrotu państwowego, długie miesiące siedzi w więzieniu, zagrożony karą śmierci. — Krystyna szaleje z rozpaczy.

Erlend przecie to jej życie — życie jej tęsknot i przeznaczeń. Tracąc go, straci zasadnicze ostoje swego istnienia; potrzebę twórczej wzniosłości ryzyka i możność macierzyńskich roztkliwień.

Osiadłość jej zewnętrznego bytu jest tylko tłem dla pełnego udręki i odrodzeń tułactwa wewnętrznego.

Powtarza ona, na swój sposób, jak już wspomniałem, w odmiennej formie, życie Lawransa. Nie zawinione żadnym występkiem życie tego ojca wypełnia własnemi grzechami i grzechami swoich najbliższych. I nic nie może zgnębić jej poczucia odpowiedzialności, podobnie jak nic nie zgasi jej wiecznie płonącej młodości i urody.

Gdy przyjdzie czas ostatecznych rozrachunków z sumieniem, Krystyna nie zawaha się nietylko uczuć swoich, ale i życia zewnętrznego rzucić w palenisko ofiary. Będzie o tem mowa w trzecim tomie „Pod krucyfiksem". Krystyna zamknie swoim losem to wielkie koło życia w miejscu, od którego pragnął je zacząć Lawrans.

W powieści tej bije prastary rytm potężnej rasy. Epickość utworu nie polega tylko na olbrzymiej rozciągłości tematu, ogarniającego życie rodów, rodzin i narodu, ale przedewszystkiem na zdumiewającej wytrzymałości kompozycyjnej. Realistycznie traktowany indywidualny motyw życia Krystyny, rośnie stopniowo, jak już zaznaczyłem na wstępie, do potęgi ogólnoludzkiego symbolu. A przecie narracja ani na chwilę nie drętwieje w atrakcyjnym wywodzie. Proza ta jest wymowną ludzi, rzeczy i spraw rozłożonych w idealnej proporcji czynników epiki, liryki i dramatu. I może idealizm tej proporcji, na mgnienie nawet nie zmarszczony niecierpliwością swojej wielkiej perspektywy, wywiera takie dynamiczne wrażenie, właśnie sugestją — zawartej w spokoju i opanowaniu siły.

Zjawiskiem charakterystycznem, szczególniej w odniesieniu do naszej literatury jest to, że największą mocą natężenia w prozie skandynawskiej odznaczają się opisy a nie, jak w naszej, rozmowy, a więc przewaga, z prosta ujmując, pierwiastku dramatycznego nad lirycznym w samym charakterze północnej sztuki epickiej.

Przyczyn tego należałoby się doszukiwać w procesie dziejów obu narodów, w trwałym, twardym ewolucjonizmie historycznym Norwegów i w gorączkowej, niespokojnej przemianie form bytowych Polski. Poczucie plemiennego bezpieczeństwa i niezamąconej ciągłości państwowej — rodzące w ostatecznym rezultacie ową nienaruszalną pewność koncentracji psychicznej — u nich, i — nieustanna konieczność pogotowia wojennego odzewnątrz, z wiecznym, wyczerpującym rozruchem elementów społecznych nawewnątrz — u nas.

W takich bowiem dziełach, jak „Krystyna, córka Lawransa" przychodzą do głosu zasadnicze cechy dziejowo-narodowego charakteru środowiska.

Przekład utworu poniżej poprawnego poziomu. Należy jak najenergiczniej zaprotestować przeciwko tego rodzaju eksperymentom.

Leon Pomirowski.

Z ŻYCIA KULTURALNEGO WŁOCH

Wymiana dzieł sztuki między Parmą a Florencją.

Według nowego rozporządzenia we Włoszech postanowiono wprowadzić wymianę dzieł sztuki między poszczególnemi miastami.

Pierwsza wymiana artystyczna nastąpiła obecnie między Florencją a Parmą. Do Florencji wróciło najstarsze dzieło sztuki Katedry florentyńskiej. Jest to ołtarz z dwunastego wieku w stylu bizatyńskim, który drogą sprzedaży dostał się w osiemnastym wieku w ręce markiza, Alfonsa Tacoli Canacci, a potem w jakiś sposób do zbiorów muzealnych w Parmie. Ołtarz ten, z którym związany jest — jak zresztą tak często we Włoszech — specjalny kult religijny, wraca po gruntownem odrestaurowaniu na swoje dawne miejsce. Wzamian za ołtarz otrzymało królewskie Muzeum w Parmie jeden z najpiękniejszych obrazów sławnego Parmigianino: „Niewolnica turecka".

Instytut kredytowy dla artystów.

We Włoszech omawiana jest kwestja założenia Instytutu kredytowego dla artystów i literatów. Bank ten ma posiadać pięć miljonów lirów kapitału zakładowego a wypuszczone mają być akcje po sto lirów.

Stroną finansową przedsiębiorstwa zajmie się Rada administracyjna, złożona z pięciu członków, strona zaś artystyczna będzie spoczywała w ręku dziewięciu artystów i literatów, którzy będą tworzyli komitet, mający za zadanie oceniać dzieła sztuki i utwory składane jako zastawy w Banku. Będzie można otrzymywać pożyczki na obrazy, rzeźby, rysunki architektoniczne, na niewydane utwory muzyczne, poematy, dramaty, powieści i nowele. Dzieła filozofów i krytyków są wykluczone!

W razie konieczności sprzedaży dzieła drogą prywatną czy przez licytację połowa uzyskanej sumy przypada autorowi.

„Italia Letteraria".

Znany tygodnik literacki „Fiera Letteraria" (nasze „Wiadomości Literackie") przeniósł swą siedzibę z Medjolanu do Rzymu i zmienił nazwę na „Italia Letteraria". Dyrekcja i kierunek literacki pisma pozostaje ten sam, wychodzi natomiast w powiększonej znacznie objętości rozwijając niektóre działy i udzie-

lając więcej miejsca sprawom literackim zagranicą, które do tej pory były uwzględniane w bardzo tylko szczupłych granicach.

Pierwszy, świeżo wydany numer „Italia Letteraria" przedstawia się w swej nowej szacie w nowej siedzibie nader interesująco.

Pirandello ukończył nowy dramat.

Przebywający — jak wiemy — w Berlinie Luigi Pirandello skończył zapowiadany już dawniej dramat: Stasera si recita a soggetto".

Według doniesień pism berlińskich prapremjera sztuki pirandellowskiej ma się odbyć w Berlinie z aktorem Pallenbergiem w głównej roli.

Wielka Encyklopedja włoska.

Nakładem Instytutu Trecani w Rzymie, na czele którego stoi senator Trecani, wyszedł pierwszy tom przygotowującej się z wielkim nakładem pracy i trudów Encyklopedji włoskiej, która będzie się składała z trzydziestu sześciu tomów.

Tom pierwszy obejmuje tysiąc stron druku i przeszło dwieście ilustracji.

Do pracy nad tem wielkiem dziełem zaangażowani są najwybitniejsi ludzie dzisiejszych Włoch. Działem polskim kieruje profesor Ettore Lo Gatto, dyrektor Instytutu wschodniego w Rzymie, wspomagają go w tej doniosłej pracy liczni uczeni i profesorowie polscy.

Delfino Cinelli: „Trappola".

Na literackim horyzoncie włoskim zjawił się nowy talent, który obudził ogólne zainteresowanie. Jest nim toskańczyk, Delfino Cinelli, który do niedawna jeszcze oddany niemal całkowicie pracy na roli, zwrócił na siebie uwagę świata literackiego i krytyków. Za nimi pójdzie niezawodnie wkrótce też publiczność!

Pierwszą książkę wydał Cinelli właściwie (przedtem tylko opisy podróży) w roku 1926; był to tomik nieudolnych nieco sonetów, potem wyszła powieść, pisana w djalekcie toskańskim a w 1928 ukazała się powieść niedługa „Trappola" („Pułapka") która postawiła autora w rzędzie ludzi, o których się mówi i pisze!

Romantyczna ta powieść, która tematem przypomina nieco „Ucztę Szyderców" Sem Bemelli'ego, przerobiona dla teatru zyskała znaczny sukces.

Cinelli napisał też kilka utworów teatralnych dla dzieci.

Luciano Zuccoli.

Wyszła świeżo doskonała powieść znanego subtelnego pisarza włoskiego, Lucjana Zuccali'ego: „Lo scandalo delle Baccanti", która obudziła ogromne zainteresowanie. Obok zwyczajnego u tego artysty wybitnego talentu narracyjnego i psychologicznego wybija się w nowej powieści doskonale odmalowane tło, na którem rozgrywa się akcja wielce zajmującej powieści. Jest to epoka Marka Katona. Stary Rzym, jego zwyczaje i obyczaje, przytem świetna charakterystyka osób, liczne momenty dramatyczne i poetyczne składają się na całość wielce interesującą.

Nowy Teatr w Rzymie.

Grupa młodych literatów, która założyła przed niedawnym czasem czasopismo literackie: „2000" zorganizowała obecnie teatr artystyczny, którego inauguracja odbyła się przed paru dniami.

Na otwarcie tej nowej placówki awangardowej wystawiono niegrany nigdzie we Włoszech dramat Marinetti'ego: „Re Baldoria". Ta polityczno - społeczna satyra była wystawiona w roku 1909 w Paryżu przez Lugné Poé.

Futurystyczny dramat tego rewolucjonisty w sztuce a dziś już poważnego Akademika nie obudził szczególnego zainteresowania u publiczności ani u krytyków.

O ile z zamierzeń i zapowiedzi młodych kierowników wnosić można, teatr ten mimo szczytnych planów niema wielkich widoków stworzenia epoki w życiu teatralnem Włoch.

„Syn dwóch matek" Bontempelli'ego.

Massimo Bontempelli, jeden z najwybitniejszych literatów włoskich młodszego pokolenia i redaktor miesięcznika „900" wydał obecnie powieść: „Il figlio di due madri", która obudziła znaczne zainteresowanie. Jest to głęboko psychologicznie ujęty problem, któremu wykwintny autor umiał nadać zajmującą, ciekawą formę artystyczną wyzbywając się ironji, jaką się zazwyczaj posługuje Bontempelli w stosunku do siebie i do drugich.

Fr. S.

ODPOWIEDZI „GŁOSU PRAWDY" LITERACKIEGO

L. L. Poezja taka polega na tem, że ów „czar niewieści" jest jednak jakoś po poetycku określony. Wszyscy wiemy, że istnieje ów czar niewieści. Wiemy też, że istnieje radość, szczęście, smutek i t. p. Poeta jednak umie te uczucia, czy pojęcia, czy rzeczy, czy zdarzenia **określać**. To znaczy mówić o nich własnemi świeżemi słowami, które zdają się być własnością każdego, odkryciem, wynalazkiem każdego czytelnika. Czy nie zauważył Pan, że czytając wielkiego poetę, zdaje się Panu czasem, że poeta ów okrada Pana z jego najtajniejszych doznań, czy wzruszeń: Niechże Pan poszuka tych słów, które okradałyby pańskich czytelników z ich najtajniejszych, najdroższych wzruszeń.

Stanisław N. Dalki. Z głębokiem wzruszeniem odczytaliśmy list Pana. Literatura dopiero wtedy może być spokojna o swój byt w narodzie, dopiero wtedy jest budową a nie tylko nadbudową, gdy podobni Panu młodzi ludzie wchodzący w świat kochają ją, tak właśnie, jak Pan. Inna rzecz, że nadesłane nam próby poezji nie są jeszcze wyraźne. Niechże się Pan zastanowi. Niema w tych poezjach niczego, coby mówiło o ich autorze. Kopjuje Pan tylko pewne wzorki, w zasadzie liche, gładkie poprawne, lecz pozbawione wszelkiej siły poetyckiej. Wypowiadanie się poetyckie to w pierwszym rzędzie wielka, zupełna szczerość, ujęta w formę słowa. Powtarzamy, — kopjuje Pan banalne wzory. Sprawę pańskiego kształcenia się powierzyliśmy komuś, kto może będzie miał wpływ na Pańskie dalsze losy. Czy jednak uda się ta rzecz to jeszcze niewiadomo. Wydaje się nam, iż w danym razie przy kiepskiem zdrowiu najlepiej byłoby pomyśleć o ogrodownictwie. A już nie dręczyć się ową maturą.

Zbigniew Zbik. W-wa: Nadesłana próbka zbyt jest nieznaczna, opowiadanie zbyt pobieżne. Jeżeli Pana tego rodzaju sprawy zajmują, trzeba gruntowniej popracować nad samą gwarą. Możemy drukować literackie wyniki tego zestawienia. Jeżeli chodzi o podania i wierzenia, — taksamo: Zebrać ich jakąś większą część, zestawić z podaniami naszemi i słowackiemi, wykazać podobieństwa i różnice. Słowem musi być temat pański ujęty i przepracowany a nie ograniczać się do ulotnej zdawkowej uwagi, czy refleksji.

J. Jastrząb K. Z prawdziwem zdumieniem przeczytaliśmy te banalne, jałowe wiersze. Ależ na Boga poezyj takich nie chciał już nikt czytać pięćdziesiąt lat temu! Rymy, rytmy, obrazy, myśli wszystko to pospolite, bezbarwne nieoryginalne, niepotrzebne, radzimy nie zajmować się poezją. Z całą pewnością, — nie warto!

M. R. Kołomyja: Wiersz pański wydrukujemy w nadziei, iż w druku zobaczy Pan sam ujemne strony tego utworu: Owe „sakwy" i rozpacz z powodu „utraconych lat". Są to rażące ustępstwa dla rymu i rytmu, wydzielające się niejako z całości kompozycyjnej. Wydrukujemy jednak, gdyż mimo wszystko utwór ma pewien rytm, pewien nastrój.

Jotemka, W-wa: Tyle pracy, tyle wysiłków znacznych napróżno! I zawsze tak będzie, jeżeli poeta zrozumiałe starać się będzie zastąpić sztucznem, proste — zawiłem, nie osiągając równocześnie dzięki tej operacji żadnego wrażenia artystycznego w t. zw. czystej formie, t. j., ani w dźwięku, ani w rytmie, ani w rymie. Przy wszystkich tych porównaniach uciekł Panu jakgdyby przez palce przepłynął istotny sens pańskiego wiersza. Chciał Pan powiedzieć przecież coś o sobie ale niestety zapodziało się to Panu gdzieś po drodze. Czyż nie tak?

Antoni M. Lublin: Wszystkie, — prócz „Zimy", — bardzo dobre, pełne szczerego wzruszenia, pełne prostoty i rzewności. Przeczytaliśmy z prawdziwem wzruszeniem i wielką radością. Że oto był Pan cierpliwym, że jednak w pewnej części spełniliśmy może wobec Pana rolę niewdzięczną, lecz tak potrzebną,—rolę zrzędnego przyjaciela. Dziś już niema w tych utworach owej nuty zbyt łatwej, wpadającej w ton banalnej malowanki. Natomiast rozwinęła się owa szlachetna, skromna, panteistyczna radość życia. Z nutą tą należy obchodzić się nader delikatnie, nie forsować, nie przebierać miary. Wierzymy, iż utrzyma się Pan w tonie. Oczywiście w jednym z najbliższych numerów wydrukujemy!

Sulisław K. Prosimy nadesłać ten wiersz jeszcze raz, ale już w tej redakcji jaką Pan uważa za ostateczną. Nie może Pan przecież wymagać od nas, byśmy Panu jego utwory omawiali, a potem jeszcze poprawiali. Ostatecznie, — chyba Pan sam czuje, że to nie uchodzi, choćby tylko ze względu na ambicję autorską.

Wacław Ch. Ba, ale nadesłany wiersz jest bardzo lichy. Noc która „się atłasi". To już tak, jakby ktoś zamiast powiedzieć: jem kotlet, mówił, — teraz się kotletuję, czy kotlecę. Więc np. czy kotleciłeś (się) już, przyjacielu? Wszystko to w tym wierszu jest bardzo skwapliwie szukane, lecz nie znalezione, wymuszone, sztuczne.

E. Ol.: A cóż znowu przychodzi Panu do głowy z tą suką? Dlaczego ciężar niepotrzebny nikomu? Suka jest „kotna" dla szlachetnego, kochanego psiego gatunku. Jest to ciężar potrzebny psiemu gatunkowi a nawet nam, ludziom. Że ta suka nie ma w tym czasie odpowiednich wygód? Ależ Panie, radzimy czytać antropologję, przekona się Pan, że i ludzie dawniej łatwiej przychodzili na świat. Nie można przecież wymagać od urządzeń współczesnych, — by urządzano instytuty położnicze dla psów. Zresztą w krajach bogatych są już kocie szpitale i psie szpitale. Nas jeszcze na to nie stać, ale to już trudno!

Impresja. Na śmierć konika polnego: Wiersze całkiem słabe, zmanierowane, czułostkowe. Chyba wcale nie warto pisać.

Wład. Boch.: Radzimy przestudjować pomieszczony w numerze poświątecznym Marszałkowi Piłsudskiemu wiersz Tuwima. Porównać z własnym. Dlaczego wiersz Tuwima jest lepszym od pańskiego! Dlaczego? Przedewszystkiem dlatego, że Pan używa jakich wielkich wyszukanych słów a la „gazdo, gniazdo" itp. tymczasem Tuwim tych słów nie używa. Wyraża się prostemi słowami o wzniosłości jaką budzi w nim postać Marszałka. Pierwszy warunek to właśnie te proste słowa a nie te jakieś pospolite, uroczyste pochwały. Czyż nie rozumiecie tego Panowie?

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: *TADEUSZ HIŻ*

Drukarnia Artystyczna, N.-Świat 47. Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.